

Waszyngton kontra Pekin

Wydaje się, że Stany Zjednoczone uważają obecnie, iż nie mogą stawić czoła jednocześnie Chinom i Rosji i że w nadchodzących dziesięcioleciach ich głównym rywalem geopolitycznym będą Chiny. W tej sprawie istnieje nawet zgodność poglądów między administracją republikańską Donalda Trumpa a demokratami, którzy będą jego ostrymi przeciwnikami w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. Jako priorytetowy przeciwnik Waszyngtonu Chiny zastępują zatem dawne radzieckie „imperium zła” i niedawny „terrorizm islamski”. W odróżnieniu jednak od Związku Radzieckiego posiadają one dynamiczną gospodarkę, wobec której Stany Zjednoczone wykazują się przepastnym deficytem handlowym. Ich potęga jest w szczególności nieporównywalna z mocami kilkudziesięciu tysięcy bojowników fundamentalistycznych wędrujących między pustyniami dawnej Mezopotamii a górami Afganistanu.

Już Barack Obama podjął się budowy „sworznia” dyplomacji amerykańskiej w Azji i na Pacyfiku. Jak to często bywa, jego następca formułuje tę nową strategię w sposób mniej elegancki i subtelny. W jego mniemaniu współpraca zawsze jest pułapką, grą o sumie zerowej, toteż wzlot gospodarczy azjatyckiego rywala zagraża automatycznie rozwojowi Stanów Zjednoczonych - i na odwrót. „Jesteśmy na drodze do wygranej z Chinami”, przechwalał się Trump w sierpniu br. „Miniony rok był dla nich najgorszy od półwiecza, a to moja zasługa.” Nieco ponad rok temu pozwolił kamerom telewizyjnym bezpośrednio transmitować posiedzenie jego gabinetu. Czegóż to nie byliśmy przy tej okazji świadkami: jeden z sekretarzy cieszył się z powodu spowolnienia wzrostu gospodarczego Chin, inny twierdził, że chiński eksport fentanylu spowodował w Stanach Zjednoczonych epidemię opioidową, a jeszcze inny winą za trudności, z jakimi borykają się farmerzy amerykańscy, obarczył chińskie retorsje handlowe.

Trumpowi pozostało więc jedynie wyjaśnienie północnokoreańskiej krnąbrności w sprawie broni jądrowej pobłażliwym stosunkiem władz w Pekinie do ich sojusznika w Pjongjangu. Białemu Domowi nie wystarczy trochę większa sprzedaż Chinom kukurydzy czy elektroniki. Uważa się tam, że należy izolować tego rywala, którego PKB wzrósł w ciągu 17 lat 9-krotnie, oraz zapobiec szerzeniu się jego wpływów, a już zwłaszcza nie pozwolić, aby stał się strategicznie równorzędny ze Stanami Zjednoczonymi. Jego gwałtowny rozkwit gospodarczy nie skłonił go do amerykańsacji i posłuszeństwa, więc nie oszczędzi mu się ciosów.

4 października 2018 r. amerykański wiceprezydent Mike Pence zaatakował z niezwykłą gwałtownością „system orwellowski”, władze, które „niszczą krzyże, palą Biblię i wtrącają wierzących do więzień” oraz „stosują przymus wobec amerykańskich przedsiębiorstw, studiów filmowych, uniwersytetów, thinktanków, uczonych, dziennikarzy”. Dopatrzył się nawet „bezprecedensowych prób wpływania na amerykańską opinię publiczną” w związku z wyborami prezydenckimi w 2020 r. Czyżby, po aferze Russiagate, która rzekomo zapewniła Trumpowi zwycięstwo w wyborach prezydenckich w 2016 r., należało spodziewać się afery Chinagate, która tym razem miałaby spowodować jego klęskę?

Jak widać, Stany Zjednoczone to dość kruche państwo...

tłum. Zbigniew M. Kowalewski